

Wyznanie Tarrou (s. 210-213)

Kiedy miałem bowiem siedemnaście lat, ojciec zaproponował mi, żebym poszedł go posłuchać. Chodziło o ważną sprawę w sądzie przysięgłych i myślał na pewno, że ukaże się w najlepszym świetle. Sądzę również, że liczył na tę ceremonię, mogącą podzielać na młodą wyobraźnię, by skierować mnie na drogę, którą sam wybrał. Zgodziłem się, ponieważ sprawiało to przyjemność memu ojcu, a także dlatego, że byłem ciekaw zobaczyć go i usłyszeć w innej roli niż ta, którą grał wśród nas. Nie myślałem o niczym więcej. To, co działo się w sądzie, wydawało mi się zawsze tak samo naturalne i nieuniknione jak defilada na 14 lipca czy rozdanie nagród. Miałem o tym wyobrażenie bardzo abstrakcyjne, które nie robiło mi żadnej różnicy. Mimo to z owego dnia pozostał mi tylko jeden obraz — winowajcy. Myślę, że był winien rzeczywiście, mniejsza czego. Ale ten mały mężczyzna o rudym i skąpym zarostcie, lat około trzydziestu, wydawał się tak zdecydowany, żeby się do wszystkiego przyznać, tak szczerze przerażony tym, co zrobił i co jemu zrobią, że po kilku minutach nie mogłem oderwać od niego oczu. Wyglądał jak sowa spłoszona zbyt żywym światłem. Węzeł jego krawata nie przylegał dokładnie do kołnierzyka. Ogryzał sobie paznokcie u jednej ręki, u prawej... Krótko mówiąc, nie muszę podkreślać; rozumiał pan, że był to żywy człowiek. Ale ja zdałem sobie z tego sprawę nagle, dotychczas bowiem patrzyłem na niego, używając wygodnej szufladki «Oskarżony». Nie mogę powiedzieć, żebym zapomniał wówczas o moim ojcu, ale coś ścisnęło mi żołądek, odbierając wszelkie zainteresowanie prócz zainteresowania oskarżonym. Nie słyszałem niemal nic, czułem, że chcą zabić tego żywego człowieka, i jakiś straszny instynkt, jak fala, niósł mnie ku niemu z rodzajem upartego zaślepienia. Ocknąłem się naprawdę dopiero wtedy, gdy mój ojciec rozpoczął mowę oskarżycielską. Był zmieniony w czerwonej todze, ani poczciwy, ani serdeczny, w jego ustach roilo się od ogromnych zdań, które wychodziły z nich bez przerwy, niczym węże. I rozumiałem, że w imieniu społeczeństwa żąda śmierci tego człowieka, żąda nawet, żeby ścięto mu głowę. Co prawda powiedział tylko: «Ta głowa powinna spaść». Ale w końcu różnica jest niewielka. I wyszło na jedno, w gruncie rzeczy, skoro otrzymał tę głowę. Tyle tylko, że on jej sam nie ściął. Ja zaś śledziłem potem sprawę aż do jej zakończenia i czułem się z tym nieszczęsnym związany mocniej i bardziej blisko niż kiedykolwiek z moim ojcem. Ojciec natomiast, zgodnie ze zwyczajem, musiał być obecny przy tym, co uprzejmie nazywa się ostatnimi chwilami i co należy nazwać najnikczemniejszym z morderstw. Począwszy od tej chwili, patrzyłem na rozkład jazdy Chaixa z okropnym obrzydzeniem. Począwszy od tej chwili, że wstrętem interesowałem się sądami, wyrokami śmierci, egzekucjami; stwierdziłem z zawrotem głowy, że mój ojciec wiele razy był obecny przy morderstwach, właśnie wtedy, kiedy wstawał wcześniej. Tak, w tych wypadkach nastawiał budzik na wcześniejszą godzinę. Nie odważyłem się o tym mówić matce, ale wówczas widziałem ją lepiej i rozumiałem, że nie ma już nic między nimi i że jej życie jest wyrzeczeniem. To pomogło mi jej wybaczyć, jak mawiałem wówczas. Później dowiedziałem się, że nie mam jej nic do wybaczenia, ponieważ matka aż do swego małżeństwa była biedna i bieda nauczyła ją rezygnacji. Czeka pan zapewne, żebym panu powiedział, że opuściłem dom natychmiast. Nie, zostałem, wiele miesięcy, niemal rok. Ale miałem chore serce. Pewnego wieczoru ojciec poprosił o budzik, ponieważ miał wstać wcześniej. Nie spałem przez całą noc. Nazajutrz, kiedy wrócił, mnie już nie było. Powiedzmy od razu, że ojciec kazał mnie szukać, że przyszedłem do niego, że nic nie wyjaśniając powiedziałem mu spokojnie, iż zabiję się, jeśli mnie zmusi do powrotu. Zgodził się w końcu, z natury bowiem był łagodny, wygłosił mowę o głupocie pragnienia, by żyć własnym życiem (tak sobie tłumaczył mój gest, a ja bynajmniej nie odwodziłem go od tej myśli), dał mi tysiące zaleceń i powstrzymał szczere łyzy napływające mu do oczu. Po pewnym czasie zacząłem przychodzić regularnie do matki i spotykałem go wówczas. Sądzę, że te stosunki mu wystarczyły. Co do mnie, nie czułem do niego niechęci, miałem tylko trochę smutku w sercu. Kiedy umarł, zabrałem matkę do siebie i byłaby ze mną wciąż jeszcze, gdyby i ona z kolei nie umarła. Długo zatrzymałem się na tym początku, ponieważ był w istocie początkiem wszystkiego. Teraz pójdzie już szybciej. Mając osiemnaście lat, poznałem biedę, wyrósłszy w dobrobycie. Żeby zarobić na życie, nauczyłem się tysiąca zawodów. Nie najgorzej mi się powiodło. Ale interesowały mnie wyroki śmierci. Chciałem uregulować rachunek z rudą sową. Toteż zajmowałem się polityką, jak to się powiada. Nie chciałem być zadzumionym, tylko tyle. Sądziłem, że społeczeństwo, w którym żyję, opiera się na karze śmierci i że walcząc przeciw niemu, zwalczam morderstwo. Wierzyłem w to, inni mi mówili to samo i w końcu było to w znacznej mierze prawdą. Złączyłem się więc z innymi, których kochałem i których nie przestałem kochać. Byłem z nimi długo i nie ma w Europie kraju, w którego walkach nie uczestniczyłem. Mniejsza o to. Wiedziałem oczywiście, że my także skazujemy w pewnych okolicznościach. Ale mówiono mi, że trzeba tych kilku trupów, aby powstał świat, gdzie nie zabija się nikogo. Było to w pewien sposób prawdziwe, a zresztą, może nie potrafię uznawać prawd tego rodzaju. Rzecz jednak pewna, że się wahałem. Ale myślałem o sobie i dlatego mogło to trwać aż do dnia, kiedy zobaczyłem egzekucję (było to na Węgrzech) i ten sam zawrót głowy, którego doznało dziecko, zaćmił wzrok dorosłego mężczyzny. Czy nie widział pan nigdy, jak rozstrzelują człowieka? Nie, oczywiście, na ogół trzeba zaproszenia, publiczność jest wybrana zawczasu. W rezultacie zna pan to z rycin i książek. Przepaska, słup i z daleka kilku żołnierzy. A więc nie! Czy wie pan, że pluton egzekucyjny staje w odległości półtora metra od skazańca? Czy wie pan, że gdyby skazańca postąpił dwa kroki naprzód, zawadziłby piersią o karabiny? Czy wie pan, że z tak małej odległości rozstrzelujący koncentrują ogień na okolicy serca i wielkimi nabojami robią dziurę, w którą można by włożyć pieść? Nie, pan tego nie wie, ponieważ są to szczegóły, o których się nie mówi. Sen ludzi to rzecz bardziej święta niż życie dla zadzumionych. Nie należy mieć snu zacnym ludziom.

Przedstaw i oceń opinię Tarrou na temat kary śmierci.